



Franciszek Kupczyk

## Fotografia otworzyła mi świat



z cyklu *Ludzie Podlasia*

# Fotografia otworzyła mi świat

**Z Franciszkiem Kupczykiem, znanym konińskim fotografem, byłym fotoreporterem prasy lokalnej, członkiem Kolskiego Klubu Fotograficznego FAKT, uczestnikiem wielu wystaw i laureatem wielu nagród – rozmawia Krzysztof Szymoniak**

**– Spotkaliśmy się w Posadzie, w twojej podkonińskiej pracowni 16 marca 2012 roku, aby porozmawiać i przyrzeć się twoim zdjęciom. Od razu jednak wróćmy do początków obecnego wieku, kiedy to swoją wystawą zadebiutowałeś w Objazdowej Galerii Wielkopolskiej Fotografii. Przypomnijmy tylko, że projekt jest inicjatywą WBPiCAK w Poznaniu, który ma na celu popularyzowanie sztuki fotograficznej na terenie naszego województwa. A pytam o tę wystawę, bo to ona zainicjowała działalność Galerii.**

– Wszystko zaczęło się wiosną 2002 roku w Pile, gdzie w ramach obchodów Światowego Dnia Ziemi zorganizowano między innymi warsztaty fotograficzne. Wtedy też pokazałem tam swoją konińską wystawę „Pieśni pól”. Tytuł był dosyć poetycki, ale nawiązywał do klimatów, jakie zawarłem na zdjęciach. Ta sama wystawa rok później została pokazana w Poznaniu, już w ramach Galerii Objazdowej, a potem „Pieśni pól” krążyły jakiś czas po Wielkopolsce. Z tego co pamiętam, wystawa trafiła między innymi do Gniezna, Miłosławia, Środy Wielkopolskiej, Stęszewa i Śremu.

**– Jakie miejsce wówczas zajmowała fotografia krajo-brazowa w twoim życiu zawodowym?**

– Ta fotografia była wtedy i jest nadal dla mnie rodzajem odskoczni od wiru życia, od zleceń, zamówień i terminów, które są podstawą mojej egzystencji. Poza tym, faktem jest, że kocham naturę i lubię wstać przed świtem, żeby chwycić w kadrze budzące się światło, które przenika całe

moje jestestwo i wywołuje w człowieku mistyczny dreszcz emocji. Tak więc wówczas fotografia krajobrazowa była częścią mojego świata, a świat ten składał się między innymi z własnej firmy, która daje mi utrzymanie do chwili obecnej. Wtedy miałem już za sobą doświadczenia fotoreportera prasy lokalnej, że wymienię tylko „Wielkopolskie Zagłębie”, „Gazetę Konińską”, „Gazetę Kolską” i „Przegląd Koniński”.

**– Jeżeli dobrze pamiętam, to w latach 90. miałeś też w Koninie całkiem udany epizod radiowy i współpracę ze Sławkiem Papierą. Ale w radiu chyba nie fotografowałeś?**

– I tu cię zaskoczę. Działalności radia lokalnego na terenie Konina nikt wtedy nie znał, a radiowych portali internetowych wtedy nie było. My się wszystkiego wspólnie uczyliśmy na żywym organizmie. Ale im bardziej nabierało to rozmachu, tym lepszy mieliśmy kontakt z lokalną, głównie konińską społecznością, także ze służbami typu policja, pogotowie czy straż pożarna. Byliśmy więc zazwyczaj dobrze poinformowani, a ja przy okazji robiłem zdjęcia wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego, interesującego czy niespodziewanego. Dzięki temu mam dzisiaj duże prywatne archiwum fotograficzne z tamtych czasów. Sławek Papiera zaproponował mi pracę w radiu w chwili, kiedy padła „Gazeta Kolska” – mój dotychczasowy pracodawca. Dostałem w radiu etat szefa działu reklamy, czyli – mówiąc krótko – byłem człowiekiem od zarabiania pieniędzy. Dzięki temu poznałem rynek reklamowy, w który za jakiś czas mogłem wejść z własną ofertą fotograficzną.



z cyklu *Ludzie Podlasia*

**– Teraz, skoro umiejscowiliśmy twoją fotograficzną działalność na mapie Wielkopolski, wracamy na moment do źródeł. Skąd pochodzisz?**

– Urodziłem się w Woli Łaszczej pod Koninem, ale całe moje życie związane jest z tym miastem. Tutaj ukończyłem szkołę średnią. Tutaj też poczyniłem pierwsze kroki związane z fotografią. Wielu wspaniałych ludzi, którzy byli świadkami rodzenia i umacniania się mojej pasji, poznałem w Konińskim Foto-Klubie.

**– W twoim domu rodzinnym ktoś fotografował?**

– Nikt nie fotografował, ale bardzo uzdolniona plastycznie była moja mama. Prowadziła pamiętnik (który już nie istnieje) ozdobiony niezwyklej urody rysunkami, akwarelami i rycinami. To po niej zapewne odziedziczyłem wrażliwość na piękno.

**– Pierwszy kontakt z fotografią w twoim przypadku nastąpił w szkole średniej, czy jeszcze wcześniej?**

– Gdy zacząłem naukę w technikum, to nie było mnie stać na kupno jakiegokolwiek aparatu fotograficznego. Pamiętam natomiast kolegów ze starszych klas, którzy mieli wtedy dostęp do szkolnej ciemni. Ponieważ nie dostałem się na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, po maturze poszedłem do pracy. Trafiłem wtedy do Fabryki Urządzeń Górniczo-Odkrywkowego, a za pierwszą wypłatę kupiłem Zenita 12XP. Pamiętam dziwny zapach skórzanego futerału. Po czym wkręciłem do aparatu film HL 27 i wykonałem pierwsze fotografie w życiu.

**– Skąd u ciebie wziął się pociąg do obrazu fotograficznego, do ciemni i sprzętu? Z czegoś musiało to wynikać.**

– Źródła tego, o co pytasz, skrywają się w pewnym zdarzeniu z czasów mojej młodości. Otóż zdarzył się pewien epizod w życiu, który miał wpływ na moje późniejsze de-

cyzje i wybory. W moje 18-te urodziny strułem się alkoholem. Świadomość tego, że życie toczy się wokół mnie, a ja w nim nie uczestniczę, nie mam na nie wpływu, była dla mnie nie do zaakceptowania. Na własne życzenie stałem się ubezwłasnowolniony, a ktoś za mnie podejmuje decyzje. Postanowiłem sobie, że już nigdy w życiu się nie upiję. Wtedy zrodziła się myśl związana z nieodpartą potrzebą chwytania chwili, rejestrowania tego, co mija i bezpowrotnie odchodzi...

**– Od razu wiedziałeś, że to ma być fotografia?**

– Tak. Ja byłem już wcześniej zainfekowany fotografią. Ponieważ jednak nie było mnie stać na własny aparat, to przy każdej okazji, gdy znalazłem się w jakimś dużym mieście, odwiedzałem foto-optykę i oglądałem znajdujące się tam aparaty. Królowały wówczas Zenity i Praktiki, a w średnim formacie Pentacony. Brałem je do rąk, dotykałem, podziwiałem, a gdy sprzedawca był życzliwy, to mogłem nawet nacisnąć spust, by usłyszeć ten magiczny dźwięk migawki.

**– Kupiłeś więc za pierwszą wypłatę Zenita, zrobiłeś pierwsze zdjęcia, wywołałeś film, a po obejrzeniu odbitek byłeś zawiedziony jakością zdjęć, czy wręcz przeciwnie, wszystko było w należyłym porządku?**

– Byłem oczywiście rozczarowany, bo jedno zdjęcie prześwietliłem inne niedoświetliłem... Mówiąc krótko, nie miałem wtedy żadnej wiedzy na ten temat, ale za to miałem w sobie niczym nie wytłumaczalne pragnienie fotografowania. Wszystkiego więc musiałem się nauczyć, czytając odpowiednie książki i czasopisma fachowe. Do dzisiaj zresztą mam je w domowym archiwum. W sumie było to piękne zmaganie się z własną niewiedzą i brakiem umiejętności. Pamiętam emocje towarzyszące pojawieniu się w wywoływaczu obrazu na pierwszych własnoręcznie wykonanych odbitkach. A ponieważ prymitywną ciemnię zorganizowałem w kuchni, nie obyło się bez przykrych uczuć związanych ze stratą materiałów światłoczułych



z cyklu *Ludzie Podlasia*

na skutek przypadkowego zapalenia światła przez domowników.

**– A zatem ustalmy chronologię: masz za sobą pierwsze lekcje pokory wobec materii fotograficznej, jesteś młodym człowiekiem, szlachetnym amatorem zakochanym w fotografii i zdajesz sobie sprawę z tego, że czeka cię długa droga do zawodowstwa i profesjonalizmu. Tak było?**

– Samokształcenie wymaga determinacji i konsekwencji. Owszem pojawiały się trudności, które musiałem pokonywać często metodą prób i błędów. Ale się nie zniechęcałem. Kiedyś dowiedziałem się o istnieniu w Koninie Foto-Klubu, który działał przy Wojewódzkim Domu Kultury. Jego szefem był Ryszard Fórmanek – wówczas etatowy fotoreporter „Przeglądu Konińskiego”. Był rok 1982, kiedy to wstąpiłem w szeregi Foto-Klubu. Zacząłem więc regularnie spotykać się z ludźmi, których łączyła pasja fotografowania. Pamiętam z tamtego okresu takie nazwiska, jak Antek Sierkowski, Andrzej Moś, Staszek Michalski, Krzysztof Pindral, Grzegorz Matelak czy Zbyszek Murawski. Jako „klubowicze” mieliśmy do dyspozycji swoją ciemnię fotograficzną na pięć stanowisk mieszczącą się w Domu Kultury. Tutaj poznawaliśmy tajniki pracy w ciemni, uczyliśmy się podstaw fotografii czarno-białej, roli i znaczenia światła. Poznawaliśmy zasady techniki i estetyki obrazu fotograficznego. Uczyliśmy się trafnej obserwacji oraz właściwego wyboru fotografowanych motywów. Krótko mówiąc doskonaliliśmy swój warsztat fotograficzny. Spotykaliśmy się zawsze w czwartki, a raz w miesiącu każdy przynosił jedno zdjęcie, które następnie było anonimowo oceniane przez wszystkich uczestników spotkania. Na odwrocie fotografii należało napisać liczbę przyznanych punktów w skali od 1 do 10. Zwycięski kadr trafiał następnie jako „zdjęcie miesiąca” do gabloty znajdującej się przy głównym wejściu do Kina Centrum. Dla autora takiego zdjęcia była to nobilitacja, ale jednocześnie motywacja do tego, aby stawiać sobie coraz wyższą poprzeczkę.

**– Jak sobie w tych zmaganiach radziły twoje kadry?**

– Przyznam bez fałszywej skromności, że dosyć często trafiały do owej gabloty. To mnie oczywiście bardzo pozytywnie motywowało do pracy, do dalszych poszukiwań w obszarze zarówno tematycznym jak i warsztatowym.

**– Gdybyś wtedy nie spotkał ludzi, o których mówimy, nie trafił do Foto-Klubu, to miałbyś szansę na szybki samodzielny rozwój i wysoki poziom samokształcenia?**

– To byłoby na pewno trudniejsze. Dzisiaj mogę powiedzieć, że jestem samoukiem, ale samokształcenie rozumieć jako proces doskonalenia się we wszystkich sferach mojego życia. Jako nieustanne i świadome działanie, którego celem jest realizacja zadań i rozwiązywanie problemów na płaszczyźnie rodzinnej, zawodowej i społecznej. Samokształcenie fotograficzne również wpisuje się w ten zakres. Wiąże się z nieustannymi działaniami poszukiwawczymi, z rozmowami i poznawaniem interesujących fotografów, wymianą doświadczeń, z wyjazdami na plenery, a Foto-Klub to wszystko umożliwiał. Więc w tym sensie było mi łatwiej. Szkoda tylko, że nie przetrwał procesu transformacji ustrojowej, jak zresztą wiele innych instytucji kultury. Od roku 1988 Foto-Klub, jako grupa twórcza, przestał istnieć. Był w zasadzie jedynym miejscem w Koninie, gdzie amatorzy, a więc miłośnicy fotografii, mogli liczyć na swój rozwój. W miejscu siedziby naszego Foto-Klubu powstał również klub tyle, że nocny... Samo życie.

**– Samokształcenie, to także wchodzenie w historię i estetykę fotografii krajowej i światowej, to poznawanie trendów i kierunków. Czy już wtedy zaczynałeś szukać wiedzy na ten temat?**

– To się zaczęło chyba dopiero w roku 1985, kiedy otworzyły mi się oczy na świat fotografii. Miało to ścisły związek z organizowanym wówczas, w cyklu dwuletnim, Międzynarodowym Biennale Filmu i Fotografii „Żyją wśród nas”.



*Licheń – portret polskiej pobożności*



Biennale i konkurs dotyczyły wyłącznie ludzi niepełnosprawnych. A cel był zasadniczy – popularyzować problematykę niepełnosprawności wbrew wszelkim barierom architektonicznym, administracyjnym, społecznym i psychologicznym.

**– I ty wtedy właśnie, podczas tego Biennale, zdobyłeś w konkursie fotograficznym drugą nagrodę.**

– Pamiętam, jak z kolegami i redaktorami miejscowych gazet pojechaliśmy do Mielnicy, na ostatni dzień obozu dla młodzieży niepełnosprawnej. Po wszystkich oficjalnych przemówieniach padła informacja, że młodzież ma wieczorem pożegnalną dyskotekę. Pomyślałem, że może to być o wiele ciekawszy temat, niż tzw. oficjałki. Bardzo chciałem to sfotografować. Zobaczyłem piękne dziewczyny i przystojnych chłopaków na wózkach z różnymi formami niepełnosprawności. Zazwyczaj stereotypy nam podpowiadają, aby postrzegać takich ludzi wyłącznie przez pryzmat ich cierpienia. Starłem się jednak dostrzec ich radość życia i uwiecznić uczucia, i emocje. Żeby jednak zrealizować swój pomysł, musiałem mieć statyw, po który należało wrócić do Konina. Na szczęście zdążyłem. Dzięki temu wykonałem zdjęcia w ruchu, podczas tańca tych młodych ludzi na wózkach. Nagroda w konkursie za te właśnie zdjęcia sprawiła mi ogromną radość. Przewodniczącym jury był wtedy Zbyszko Rzeźniacki, ówczesny prezes amatorskich stowarzyszeń fotograficznych. Z tymi obradami wiąże się zresztą pewna anegdota. Wiedziałem, że konkretnego dnia odbędą się obrady jury, a byłem ciekaw opinii jurorów o poszczególnych zdjęciach. Interesowało mnie, jak wygląda proces oceniania zdjęć konkursowych. Wszedłem do sali wystawowej i widzę mnóstwo zdjęć leżących na podłodze. Byłem przekonany, że są to zdjęcia odrzucone po wstępnej selekcji. Zobaczyłem wśród nich i swoje fotografie, więc doznałem przykrego zawodu. Nagle jednak widzę, że przewodniczący jury wkracza między te zdjęcia i wskazując poszczególne kadry, wypowiada słowa: „To będzie pierwsza nagroda, to druga, a to trzecia”. Pierwsza nagroda pojechała do NRD, a druga przypadła

moim zdjęciom. Był to rodzaj pozytywnego szoku, który sprawił, że zacząłem się interesować szerzej fotografią i poszukiwać własnego stylu estetycznego.

**– Zaczęła ci wtedy ciążyć dosyć w sumie banalna praca w FUGO?**

– Na pewno zacząłem sobie wtedy uświadamiać swoje zamknięcie w fabryce, która niewiele już mogła mi dać w sensie rozwoju zawodowego i duchowego. Jednak los rozwiązał ten problem. Po dziesięciu latach pracy w FUGO, czyli w roku 1989, zostałem zwolniony. Dla mężczyzny, ojca rodziny z trójką dzieci to był swoisty dramat. W piątek otrzymałem wypowiedzenie, a w sobotę rano podczas robienia zakupów sklepie spożywczym przy ulicy Powstańców Wielkopolskich dostrzegłem stertę egzemplarzy nowego numeru tygodnika „Wielkopolskie Zagłębie”, a na pierwszej stronie pod winiętą komunikat: „Poszukujemy fotoreportera!”. Dla mnie nic nie dzieje się przypadkiem. Odczytałem to jako konkretny znak. Gazetę kupiłem i dokładnie zapoznałem się z zawartością tego numeru. Ze względu na sobotę na jakiegokolwiek działania było już za późno. W poniedziałek więc zabrałem ze sobą kilkanaście zdjęć i udałem się do redakcji... Tak się zaczęła moja przysługa fotoreportera.

**– To była wtedy jeszcze duża gazeta „zakładowa” wydawana przez Kopalnię Węgla Brunatnego, którą na początku lat 90. odkupił tworzący się koncern „Głosu Wielkopolskiego”.**

– Tak, ale zanim to się stało, najpierw właścicielem „Zagłębia” została firma Nowis. Tak, czy inaczej, zostałem etatowym fotoreporterem. Najwyraźniej to, co zaprezentowałem w redakcji „Wielkopolskiego Zagłębia”, było wystarczająco dobre, abym mógł rozpocząć nowy etap, etap fotografa zawodowego. Myślę, że nie bez znaczenia była moja nagroda ze wspomnianego już konkursu. Tak więc moje fotograficzne poszukiwania, moje próby odkrywania świata okiem obiektywu nie poszły na marne.



*Licheń – portret polskiej pobożności*

Moja sytuacja życiowa, mój status społeczny zmienił się w tym momencie diametralnie. Mogłem poświęcić się swojej pasji. Stałem się osobą publiczną wykonującą cenniony zawód fotoreportera prasowego. Z drugiej strony miałem świadomość, że oto właśnie skończyły się dla mnie łatwe i miłe przygody z fotografią. Od teraz niemal każde moje zdjęcie musiało być zdjęciem udanym, a wszystko, co szło do druku, było oglądane i oceniane przez kilka tysięcy ludzi, którzy kupowali gazetę. Ta myśl towarzyszyła mi przed każdym naciśnięciem spustu migawki.

**– Trafiłeś do tego tygodnika w momencie, gdy rynek prasowy ulegał zasadniczym zmianom.**

– Gazeta na moich oczach się usamodzielniała, przestała być gazetą zakładową. Znalazł się przedsiębiorca, który kupił tytuł wraz z redakcją i całym zespołem, a ja miałem zadanie zreorganizowania redakcyjnego działu foto. Kupiłem profesjonalnego Nikona F3 z motorem oraz zorganizowałem ciemnię. Wtedy odpowiedni sprzęt dla fotoreportera był najlepszą formą nobilitacji zawodowej i przepustką otwierającą drzwi. Masz profesjonalny aparat, to jesteś zawodowcem. Ale ten zawodowiec musi zrobić wszystko, czego oczekuje kolega redaktor. W grę wchodziły też codzienne wyprawy na wszelkiego rodzaju usługi i tak zwane zdarzeniówki. Prowadziłem też na łamach tygodnika własną rubrykę pod nazwą „Tydzień w obiektywie”. Tam trafiały zdjęcia, które były moją opowieścią o minionym tygodniu. Opowieścią fotograficzną, w którą mogłem wpleść własne spostrzeżenia, inspiracje i refleksje. W redakcji „Wielkopolskiego Zagłębia” pracowałem kilka lat, do czasu, gdy zastąpił mnie na etacie fotoreportera Paweł Hejman, a cały tytuł stał się własnością „Głosu Wielkopolskiego”. To był początek lat 90-tych. W tak zwanym międzyczasie otrzymałem propozycję pracy w „Przełądzie Konińskim”, a tuż obok powstawał kolejny tygodnik „Gazeta Konińska”. I właśnie tam przeszedłem do pracy, oczywiście jako fotoreporter. Niestety, gazeta tylko przez rok utrzymała się na rynku, więc musiałem poszukać sobie nowego miejsca pracy. W ten sposób trafiłem do „Gaze-

ty Kolskiej”. Żywotność i tej gazety nie była niestety zbyt długa, pomimo iż nieźle prosperowała na kolskim rynku wydawniczym. W którymś momencie tytuł był do wzięcia za darmo. Trochę dzisiaj żałuję, że nie podjąłem wtedy strategicznej decyzji i nie stworzyłem sobie miejsca pracy być może na długie lata.

**– Summa summarum zostałeś bez etatowego zajęcia i...?**

– Aby utrzymać się finansowo na powierzchni zacząłem pracować dla „Głosu Wielkopolskiego” i „Gazety Poznańskiej” jako wolny strzelec. Nie chciałem robić niczego innego, bo fotografia wtedy była już moim światem. Bywałem na różnych wydarzeniach i fotografowałem, albo do szuflady, albo dla lokalnych redakcji na zasadzie współpracownika. Któregoś dnia spotkałem Sławka Papierę, który właśnie zakładał „Radio Konin”. Zaproponował mi stanowisko zastępcy dyrektora ds. reklamy. Na podjęcie decyzji miałem jeden dzień... I tak oto rozpoczął się nowy etap w moim życiu. Stały przede mną nowe wyzwania. Jako szef reklamy byłem odpowiedzialny za pieniądze, ale też sporo nowego się nauczyłem. Poznałem możliwości oddziaływania reklamy radiowej, którą do tej pory znałem raczej od strony konsumenta. Doświadczyłem, czym jest reklama, jakie są jej funkcje, jak przygotować strategię marketingową itp. Musiałem wiedzieć, produkując spot reklamowy, co zrobić, aby słuchacz zapamiętał ofertę reklamową, a nie na przykład wesołą anegdotkę z danej reklamy. Pamiętam takie momenty, gdy wielu żartowało, zadając pytanie, co fotograf robi w radiu? Dzisiaj pewnie nikt by się nie dziwił, a ja dokumentowałbym newsy dla portalu internetowego rozgłośni. Musimy pamiętać, że były to lata 90-te, a 20 lat różnicy na rynku mediów elektronicznych ma kolosalne znaczenie. Kiedy Sławek zakładał kolejne radio, był to dla mnie sygnał, aby pójść własną drogą. Założyłem agencję fotograficzną, dzięki której mogłem świadczyć komercyjną usługę fotograficzną. Fotografia użytkowa jest tym, z czego żyje każdy zawodowy fotograf, albo prawie każdy, także ten, który interesuje się obszarami niekomercyjnej sztuki fotograficznej.



*Tanec na kółkach z cyklu Mój świat*

**– Sądząc po twoim dorobku, z całą pewnością można stwierdzić, że nigdy nie porzuciłeś fotografii niekomercyjnej, artystycznej.**

– Mając już własną firmę i w miarę stabilne dochody, mogłem rozwijać swoje zainteresowania i pracować na własny *image*. I tak, przykładowo, w roku 1999 pojechałem na Olimpiadę Specjalną. Za te zdjęcia, w kategorii prasowej, otrzymałem złoty medal. Wtedy przypomniała sobie o mnie redakcja „Przeglądu Konińskiego”, od której otrzymałem propozycję pracy na etacie fotoreportera. Zbiegło się to z pielgrzymką Ojca Świętego do Lichenia. Bardzo lubiłem to zajęcie. Czułem się jak ryba w wodzie, dowartościowanym i docenianym. Współpracowało nam się bardzo dobrze do momentu, kiedy w redakcji pojawiły się automatyczne aparaty fotograficzne, jeszcze nie cyfrowe, które rozdano dziennikarzom. Dla mnie to był kolejny sygnał, że muszę już całkowicie liczyć wyłącznie na siebie. Poszedłem więc w swoją stronę.

**– Co to wtedy znaczyło „w swoją stronę”? Z czym to się wówczas wiązało?**

– Jestem człowiekiem, który nie pali za sobą mostów, więc z redakcją nie zerwałem całkowicie współpracy. Redaktor naczelny wiedział, że zawsze mógł na mnie liczyć. Na przykład na rocznicowym kalendarzu „Przeglądu Konińskiego”, gdy gazeta świętowała 30-lecie istnienia, umieszczono zdjęcie poznańskiej modelki mojego autorstwa. Także ostatnio, gdy doszło do strajku głodowego pielęgniarek w konińskim szpitalu, to rzecz jasna pojawiłem się tam z aparatem. W takich momentach instynkt fotoreportera jest silniejszy od usługowej codzienności. Niemniej, pomijając takie ważne lub sympatyczne epizody, musiałem szukać własnych źródeł dochodu, czyli zleceń i zamówień, także w obrębie fotografii reklamowej.

**– Dzisiaj, gdy fotoreportaż uprawiasz już niemal wyłącznie dla przyjemności, możesz chyba podsumować swoje wieloletnie doświadczenia w zakresie fotografii**

**prasowej. Co ci dały te wszystkie lata spędzone w konińskich redakcjach?**

– Po pierwsze, nauczyły mnie pokory wobec materii fotograficznej, wobec natury. A u źródła pokory leży świadomość, że nie wszystko zależy ode mnie, że nie istnieje totalna samowystarczalność, że nie jestem najlepszy i że nie potrafię wszystkiego. Taka postawa towarzyszy mi każdego dnia. Dzisiaj jest tak samo. Poza tym, zdobyty warsztat dał mi to, że w warunkach ekstremalnych, gdy nie będzie powtórki, gdy wiem, że istnieje tylko jedna szansa na dobry kadr, potrafię zachować zimną krew. Wiem, jak się poruszyć. Za tym idzie zdolność przewidywania. To pozwala mi odpowiednio się ustawić, aby mieć dobry widok na to, co za chwilę może nastąpić. Tych umiejętności nie można wyczytać z książek, to przychodzi z czasem, z doświadczeniem i latami pracy spędzonymi w nieustającej akcji.

**– A co w mieście zostało po Foto-Klubie? Jakaś potrzeba spotkań, atmosfera współpracy, jakiś klimat dyskusji o fotografii?**

– Potrzeba spotkań była zawsze. Przy okazji różnych zdarzeń spotykaliśmy się starzy, dobrzy znajomi, ale przybywali też nowi. Młodsze pokolenie pasjonatów, jak Mariusz Ciesielski czy Marcin Waliniak. Często pojawiały się głosy, żeby zacząć od nowa, w nowych realiach coś organizować, na przykład jakieś stowarzyszenie, czy tak, jak w Kaliszu, gdzie mają nieformalną grupę twórczą JOF, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. W efekcie 80-tysięczne miasto zostało bez środowiska, które działałoby w ramach jakiejś sformalizowanej bądź nieformalnej struktury. W tej sytuacji z zazdrością myślę o kolegach z Koła. Tam dość prężnie działa Kolski Klub Fotograficzny „Fakt” z Adamem Wilkiem i Robertem Andre na czele, chociaż wcale nie jest im łatwo. Z kolskim środowiskiem współpracuję od kilku lat. Gdy dziś patrzę na te zmiany, w zasadzie nieodwracalne, to zastanawiam, czym one są spowodowane, że nie ma pieniędzy na kulturę, na wspieranie amatorskich stowarzyszeń fotograficznych. Na naszych oczach umiera fotoreportaż pra-



z cyklu *Mój świat*

sowy, bardzo ważny i potrzebny, a poziom zdjęć w niektórych gazetach jest tak żenująco niski, że nie ma na czym zawiesić oka. W ogóle zapanowała jakaś dziwna moda na „bylejakość”.

**– Żyjemy, jak mówi profesor Zygmunt Bauman, w czasach płynnej nowoczesności, kiedy nic już nie jest dane na zawsze i nikt nie może być pewien swojego jutra, także w wymiarze zawodowym.**

– Owe stwierdzenie Profesora Baumana dotyczące nowoczesności związane jest z ideą postmodernizmu. Nowoczesność w rozumieniu rozwoju nowoczesnych technologii przyniosła nam między innymi fotografię cyfrową, która tradycyjną fotografię zepchnęła do niszy pasjonatów i hobbystów. Wraz z możliwością cyfrowego zapisu pojawiła się niespotykana wcześniej dostępność do materii fotograficznej. Niestety, konsekwencją tego są straty w postaci zaniku szacunku dla rzemiosła, wewnętrznej potrzeby doksztalcenia. Młody człowiek kupuje dzisiaj lustrzanek za parę tysięcy i myśli, że to go uczyni fotografem. Zautomatyzowany aparat pozornie tylko ułatwia uprawianie sztuki fotograficznej, ale jeżeli dobrze się temu przyjrzeć, to od strony warsztatu fotograficznego nic się tutaj nie zmieniło. Profesjonalista, który przeszedł na cyfrę, nadal musi być mistrzem w swoim fachu, aby utrzymać się na powierzchni tej branży. Nie zmieniło się przecież patrzeć na świat, nie zmieniły się kanony estetyki, zasady kompozycji i operowanie światłem. Jeżeli ktoś nie radzi sobie z tymi sprawami, to żaden aparat mu nie pomoże. Tak naprawdę jedyne novum polega na tym, że w przypadku cyfrowego zapisu skrócił się czas od momentu ekspozycji do osiągnięcia wysokiej jakości wydruku. Można oczywiście fotografować do szuflady, ale technologia cyfrowa wcale tego nie ułatwia, jeżeli myślimy o wysmakowanych kadrach i obrazach wysokiej jakości.

**– Ciemnię analogową zastąpiła komputerowa jaśnia, ale poza tym albo umie się myśleć kadrem fotograficznym, albo nie umie. Albo ma się talent, albo nie. Koniec**

**i kropka. Wspomniałeś o zaniku fotoreportażu prasowego i fachu uprawianego przez zawodowych fotoreporterów. Nic w tym dziwnego, skoro redakcje pozbywają się zawodowców i za grosze pozyskują zdjęcia od amatorów, którzy dostarczają wszystko i z każdego zakątka świata, albo z agencji fotograficznych, które handlują wszystkim, czegokolwiek sobie dana redakcja zażyczy. Wróćmy jednak do Konina. Jak wyglądała twoja droga do współpracy w zakresie animacji kultury fotograficznej z takimi instytucjami, jak Konińskie Centrum Kultury i Sztuki, czy Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu?**

– Był to proces długotrwały i pewnie mało konkretny, jeżeli chodzi o jakieś cezury czasowe. Z takimi osobami, jak Włodek Nielipiński i Paweł Hejman współpracujemy od wielu lat. Oni nawet rozszerzyli swój zakres działania i odpowiedzialności, a ja chętnie włączam się (sam, albo z Kolskim Klubem Fotograficznym) w te działania, jeżeli tylko mam na to czas. Stąd mój udział w plenarach, warsztatach czy innych akcjach długofalowych, organizowanych przez CKiS lub WBPICAK. Mieszkam tu, pracuję tu, utożsamiam się z tym miejscem i z tymi ludźmi, więc współpracuję z tymi, którzy chcą współpracować ze mną. Oczywiście wyjeżdżam również na plenery fotograficzne ogólnopolskie organizowane w różnych zakątkach naszego kraju.

**– Zamierzasz kandydować do ZPAF-u?**

– Była o tym mowa podczas ostatniego pleneru na Podlasiu zorganizowanego przez środowisko skupione wokół Andrzeja Rucińskiego i Tadeusza Żaczka. Spotkanie to odbyło się w tamtejszym monasterze prawosławnym w Jabłecznej. Otóż Mariusz Wideryński i Zbigniew Podsiadło, będący we władzach związku, którzy obejrżeli wówczas mój pokaz multimedialny Kamedułów, zasugerowali, że warto ten zestaw zaprezentować komisji artystycznej ZPAF. Być może trzeba będzie taką próbę podjąć.



*Siostry miłosierdzia*



**– Mówiłeś wcześniej, że fotografia krajobrazowa jest dla ciebie formą wyciszenia, lekarstwem na zgiełk świata. Czy oprócz wystawy „Pieśni pól”, która wędrowała po Wielkopolsce, zrealizowałeś też inne cykle przyrodnicze, typu góry, morze, parki narodowe, z biegiem Warty?**

– Do tej pory zrealizowałem tylko ten jeden cykl, który związany był z pradoliną Warty. To są niesamowicie piękne tereny, począwszy od Uniejowa, a skończywszy na Pызdrach. Większość zdjęć do tego cyklu wykonałem jednak w okolicach Konina, i to niemal wyłącznie o wschodzie i o zachodzie słońca. Przyrodę fotografuję dosyć często i w miarę systematycznie, ale nie tworzę z tego cyklu zawężonych tematycznie.

**– W sumie więc fotografia przyrody, mimo że sprawia ci sporo przyjemności, jest w twoim dorobku jedynie rodzajem tematycznego epizodu. Co więc jest dla ciebie dominantą tematyczną?**

– Na pewno człowiek i jego umiejscowienie w świecie, w którym żyje. Człowiek i przestrzeń kultury, którą uprawia. To jest dla mnie temat uniwersalny.

**– Wyczytałem na stronie [www.kupczyk.com.pl](http://www.kupczyk.com.pl), że twoja obecna postawa życiowa, twoja duchowość ma ścisły związek z młodością, która upłynęła ci w środowisku „oazowym”. Przypomnijmy czytelnikom, zwłaszcza młodym, co to były Oazy i jak się tam odnalazłeś?**

– Oaza była i jest tym, w czym młody człowiek odnajduje określoną formację duchową. To tam odkrywa się pewną prawdę, z której wynika, że „być wierzącym” a „wierzyć Bogu” to są dwie różne sprawy. Kształtowałem się w atmosferze tej prawdy, a potem kontynuowałem tę drogę także jako człowiek dorosły. Dzięki temu nasze dzieci również wyrosły w podobnym klimacie. Nauczyłem się twardo stąpać po ziemi ze świadomością skąd pochodzę

i dokąd zmierzam. Z tym wiąże się także określony system wartości.

**– Czy to wszystko uczuliło cię, jako fotografa, na tematy, po które fotografowie sięgają niezbyt często, bo są to, co tu wiele gadać, tematy niezbyt łatwe – jak klasztory, pustelnie, czy misteria – choć początkujący fotografowie sądzą, że to są tematy samograje.**

– W moim przypadku owo uczulenie na określone tematy było wprawdzie czymś nieuświadomionym, ale kiedy w roku 2003 Wydawnictwo Markus zwróciło się do mnie z propozycją zrealizowania materiału zdjęciowego do albumu pod tytułem „Kameduli w służbie Bogu i ludziom”, to nie miałem wątpliwości, jak należy do tego tematu podejść.

**– Czyli jak?**

– Przede wszystkim z pokorą. W roku 2003 przypadało pełne tysiąclecie śmierci Pięciu Braci Męczenników, którzy według historyków na tych terenach działali i tutaj zginęli śmiercią męczeńską. W sumie bardzo się ucieszyłem, że mi ten temat zaproponowano, bo od dłuższego już czasu chciałem się z nim zmierzyć. Żeby dobrze go zrealizować, a przy okazji coś przeżyć i coś zrozumieć, zamieszkałem w klasztorze kamedułów na Górze Sowiej w Puszczy Bieniszewskiej. Miałem oddzielną celę, na której wyposażenie składały się stolik, łóżko i jakaś szafa. Mieszkałem tam półtora miesiąca.

**– Pracowałeś z nimi, modliłeś się, jadłeś?**

– Tak, spotykałem się z nimi na modlitwie i towarzyszyłem im w pracy. Tylko przez pierwszy tydzień nie towarzyszyłem im z aparatem. Nosilem przy sobie notatnik i ołówek, aby łapać na gorąco wątki, tematy, motywy, aby wiedzieć, co się dzieje, gdzie i o której godzinie, jakie jest światło, na co mogę zwrócić uwagę. Byłem na początku dosyć ostrożny i powściągliwy, bo zależało mi na



z cyklu *Kameduli*

tym, aby pozyskać zaufanie eremitów. Nie wyobrażałem sobie, że mogę od razu, nachalnie rzucić się na ich świat z aparatem fotograficznym. Wiedziałem, że jest to zakon o bardzo surowej regule. Wiele czytałem na ich temat zanim wybrałem się do Bieniszewa. Moja postawa wycofanego obserwatora pozytywnie poskutkowała tym, że któregoś dnia któryś z zakonników podeksycytowany woła do mnie: – *Bracie Franciszku, w świątyni jest ładne światło. Może byśmy zrobili zdjęcia!?* To był dla mnie znak, że czas działać. I od tamtej pory towarzyszyłem im już z aparatem fotograficznym. Pracowałem wtedy trzema aparatami analogowymi – małoobrazkowym Nikonem, Pentasixem 6 × 6 cm i japońskim, miechowym Horsemanem 970 z pokłonami, z kasetami i wymienną optyką. Przez te półtora miesiąca pobytu w klasztorze zrobiłem około 1000 klatek diapozytywów i pozytywów.

#### – Co w tej pracy było dla ciebie najtrudniejsze?

– To, że musiałem połączyć w jedną całość własną sprawność warsztatową, ich duchowość oraz metafizyczny klimat tego miejsca. Warto pamiętać, że ich reguła opiera się na kilku filarach. Jednym z nich jest *Lectio Divina*, czyli czytanie Pisma Świętego. Pierwszy raz spotykają się ze Słowem o godzinie 3:45, później jest jutrznia o 6:30, potem msza święta, następnie śniadanie, w trakcie którego kameduła również kontempluje Słowo, mając Pismo Święte przed oczyma. Słowo prowadzi go do intymnego spotkania ze Stwórcą w swoim sercu. On tym Słowem żyje, bo ono ma moc go przemieniać. Dla mnie to było zastanawiające, jak w dobie Internetu i telefonów komórkowych można świadomie zaszyć się w takim miejscu, odciąć od świata i z pełną świadomością służyć tylko Bogu. Patrzyłem na to z niekłamanym zachwytem i podziwem. A przecież musiałem tę atmosferę oddać także na swoich zdjęciach. Nie mogłem więc zapominać, po co tam jestem.

– **Drugim filarem ich reguły, jeżeli się nie mylę, jest zasada milczenia.**

– Tak, ale dla kameduły doświadczenie milczenia nie ogranicza się tylko do kwestii werbalnej, ale odnosi się do wewnętrznej postawy serca, które jest posłuszne Bożemu Słowu. Ów dar milczenia jest jednocześnie dialogiem, gdzie na przemian przeplatają się słowo i głęboka cisza. Według reguły zakonnicy nie spożywają pokarmów mięsnych. Skromne posiłki spożywają w samotności, w swoich celach. Wspólnie mogą gromadzić się w refektarzu jedynie podczas wyjątkowych dni np. świąt. Tym zaś, co przygotowują w klasztornej kuchni, naprawdę można się najeść do syta. Jest taki dzień w tygodniu, kiedy wychodzą poza mury klasztoru, żeby przyjrzeć się światu, którego są częścią. Podczas takiego spaceru zadałem pytanie: *Kiedy, w jakich okolicznościach kameduła podejmuje ostateczną decyzję o pozostaniu za murami i złożeniu ślubów wieczystych? Co jest dla niego znakiem, że to jest ten właśnie moment? Wówczas jeden z nich odpowiedział mi: Widzisz, bracie Franciszku, gdy kameduła nie czuje potrzeby wyjścia za mury, tak, jak my dzisiaj wyszliśmy na ten spacer, to dla niego jest to znak, że może już wystąpić do przeora (a przeor do generała) o zgodę na przyjęcie ślubów wieczystych.*

– **Zanim zadam ci następne pytanie, wpierw zacytujmy fragment wstępu, jaki Zbigniew Tomaszczuk napisał do katalogu wystawy „Ora et Labora” poświęconej bieniszewskim kamedułom:**

*Osobnym tematem dość często fotografowanym przez polskich twórców jest Misterium Męki Pańskiej w Kalwarii Zebrzydowskiej, które znalazło swoje odbicie w fotografii wspomnianego Adama Bujaka, ale również Piotra Szymona i Wojciecha Wilczyka. Fotografie te, z wyjątkiem prac Wilczyka, funkcjonują w obszarze reportażu, ponieważ są bardziej nastawione na decydujący moment najbardziej trafnie opisujący konkretne wydarzenie. W tym kontekście wystawa zdjęć Franciszka Kupczyka przedstawiająca życie zakonu Kamedułów w Pustelni Bieniszewskiej bliższa jest postawie dokumentalisty. (...) Jak twierdzi autor, inspiracją do powstania tego cyklu była próba odpowiedzi na pytanie, jak w dobie środków elektronicznych, komputerów, Internetu i swia-*



z cyklu *Kameduli*

**ta konsumpcji oddać się życiu pustelniczemu i zgodnie z tytułem wystawy „Ora et Labora” poświęcić się wyłącznie pracy i modlitwie. Oczywiście fotografia nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Może natomiast próbować odpowiedzieć na kwestię, na ile autor zdjęć może zbliżyć się do drugiego człowieka w przybliżeniu jego religijności. Dlatego również ważna w tym przypadku jest nie tylko sama realizacja zdjęć, co taka obecność fotografa, która nie zakłóca pustelniczego życia zakonu, szczególnie w momentach przeżyć modlitewnych. I tutaj uwypukla się najistotniejsza cecha Kupczyka jako fotografa umiejscowienie nie naruszyć stanu spokoju zastanych miejsc i osób. Przeciwnie, poprzez wydobycie sączącego się z otworów okiennych promieni słońca nie tyle oświetlającego, co oświecającego modlących się zakonników, autor wykreowuje mistyczną aurę. (...) Ważniejsze staje się nie tyle to, co zostało pokazane na fotografii, ale sposób w jaki to zostało zarejestrowane. Dlatego niewątpliwa dokumentalność tych zdjęć wykracza poza zwykłą rejestrację w kierunku estetyzacji kadru. (...) Świadczy to niewątpliwie o fotograficznym talencie autora.**

**Po tym krótkim podsumowaniu twojej wyprawy do bieniszewskiej pustelni kamedułów – sprawionym ustami znanego krytyka i badacza fotografii współczesnej – mogę już zapytać cię, co to doświadczenie ci dało – w sensie czysto ludzkim, ale i duchowym oraz fotograficznym?**

– Nie jest mi łatwo o tym mówić. To był rok 2003, natomiast w roku 2001 straciłem syna w wypadku samochodowym. Był to dla mnie czas, kiedy takie przeżycie traumatyczne staje się dla człowieka okazją do poszukiwania odpowiedzi na pytanie „dlaczego?” Im częściej zadawałem to pytanie, tym więcej było odpowiedzi w rodzaju: „nie ma odpowiedzi na pytanie – dlaczego”. Tak więc praca z tym tematem, praca z ludźmi, którzy służą Bogu, którzy Go kontemplują (a rytm dnia i formę życia organizuje, wyznacza im dźwięk bijącego dzwonu), była dla mnie czasem nie tylko fotograficznej inspiracji, ale także czasem, kiedy wewnętrzna, duchowa strona mojej osobowości została

poddana doświadczeniu poszukiwania sensu dalszego życia. Te półtora miesiąca spędzone w klasztorze pozwoliło mi konstruktywnie przemyśleć wiele spraw i uzyskać odpowiedzi na trudne, rodzące się w moim wnętrzu pytania.

**– A zatem wszedłeś za te mury, żeby wykonać konkretną fotograficzną robotę, a okazało się, że potrafiłeś zanurzyć się w świat pustelni całym sobą. To było chyba doświadczenie dosyć niespodziewane, ale i piękne.**

– Tak, było dla mnie ważne i bardzo owocne. Oczywiście, takie tematy można zrobić z marszu, w dwie, trzy godziny, bo jest odpust i przy okazji można zajrzeć do środka w ramach „drzwi otwartych”, ale przecież nie o to tutaj chodziło. Z takiej szybkiej, reporterskiej, migawkowej obserwacji niewiele zostaje. Natomiast zanurzony w tym świecie, ale i wyciszony, miałem zupełnie inne spojrzenie. Kiedyś ktoś mi zwrócił uwagę, że mnisi wyglądają na niektórych moich zdjęciach, jakby pozowali. Wyjaśniam więc: to, co oni robią na moich fotografiach, jest ich codziennością – a ich codziennością jest wyłącznie modlitwa i praca. Na zdjęciach zakonnicy są sobą, bo zachowują się w sposób naturalny i robią to, co robią zawsze, dzień po dniu.

**– Na stronie dwunastej katalogu wystawy „Ora et Labora” jest zdjęcie, które przyciąga oko widza w sposób szczególny. Modlący się zakonnik, który unosi wzrok znad brewiarza ku światłu płynącemu z góry. Kadr niezwykły.**

– Takich zdjęć robi się w życiu raczej niewiele. Pamiętam ten moment doskonale, bo to był ułamek sekundy, który nigdy już się nie powtórzył. W tym obrazie jest zawarta cała tajemnica wiary i mistycznego kontaktu człowieka ze Słowem. Takim kadrom towarzyszy dreszcz emocji, ale i poczucie, że chwyta się pewną tajemnicę. Palec na spuście migawki jest posłuszny instynktowi fotograficznemu.

**– Zadanie sfotografowania od środka pustelni kamedułów przyszło do ciebie poprzez wydawnictwo, ale**



z cyklu *Kameduli*

**kiedy już miałeś za sobą tę pracę i to doświadczenie, to zaczęłaś odczuwać, że jesteś już innym fotografem, innym człowiekiem? Bardziej świadomym?**

– Myślę, że tak. Stałem się dzięki tym zdjęciom fotografem bardziej uważnym. To mi otworzyło także oczy na sprawy, o których mówiliśmy wcześniej, kiedy jako młody chłopak przeżywałem na swój sposób formację duchową. Wtedy cała ta duchowość została mi przekazana w warstwie werbalnej, a w Bieniszewie wszedłem w ten świat mistyki całym sobą, wszystkimi zmysłami. Wiesz, małżeństwo też jest pewnego rodzaju zakonem, więc mój pobyt w klasztorze bardzo pozytywnie wpłynął na budowanie relacji z żoną i córkami. Wykrystalizował się, mówiąc krótko model dalszego funkcjonowania mojej rodziny.

**– Twoje albumy kamedulskie stały się dla wielu odbiorców rodzajem furtki, przez którą można zajrzeć do świata Pustelni Bieniszewskiej. Będąc tam przecież „tylko” fotografem, stałeś się jednocześnie człowiekiem w pewien sposób wyróżnionym, jednym z niewielu świeckich, którzy doświadczyli czegoś w rodzaju świętości tych zakonników.**

– W początkowym etapie swojego pobytu w eremie, podczas rozmowy z jednym z zakonników w jego oczach zobaczyłem piękno jego duszy. To spojrzenie było tak wymowne, tak ciepłe, niemal święte. Ja wtedy nie podniosłem aparatu i nie zarejestrowałem tej sceny. Po prostu nie miałem odwagi przekroczyć bariery sacrum, które objawiało się w mojej obecności.

**– Ten pierwszy zestaw fotografii bieniszewskich uczynił cię fotografem znanym w środowisku i rozpoznawalnym. Ta opowieść ma jakikolwiek ciąg dalszy?**

– Ja cały czas tę opowieść dopowiadam, w sensie tematycznym, rzecz jasna. Przy różnych okazjach jeżdżę tam fotografować. Na przykład w zeszłym roku byłem w Bieniszewie na pogrzebie brata Leonarda, a w tym roku fotogra-

fowałem święcenia brata Jakuba. Moje dobre relacje z zakonem są w ten sposób stale podtrzymywane. A przy okazji temat się rozwija, uaktualnia, wzbogaca o nowe obrazy. W moim przekonaniu te zdjęcia to bardzo ważny dokument.

**– Doświadczenie z kamedułami dopiero otworzy cię na inne tematy sakralne, czy może raczej zawsze je w sobie nosiłeś?**

– Nosiłem je w sobie od lat, ale dopiero po pobycie u kamedułów nauczyłem się fotograficznie odczytywać je od nowa. Szczególnie dotyczy to Misteriów Męki Pańskiej w okresie wielkiego postu, które są unaocznieniem przekazu ewangelicznego ostatniej drogi Jezusa na Kalwarię. Dziś na pewno potrafię spojrzeć na ten temat głębiej niż tylko okiem reportera prasowego.

**– Znalazłem w twoim portfolio fotoreportaż sytuacyjny. Weźmy pierwszy z brzegu – „Chłopcy z ulicy Rzeźniczej”. Zdjęcia zostały zrobione w Kole, na tak zwanej Wyspie. Masz wobec takiej materii jakieś szersze plany?**

– Mam dużo zdjęć o podobnej tematyce, więc pewnie jakaś wystawa z tego materiału z czasem powstanie. Generalnie interesują mnie ludzie osadzeni w środowisku, w którym żyją. Myślę o takich obszarach naszego kraju, które nie zostały jeszcze dotknięte fotograficznie. W moim archiwum jest wiele zdjęć, które nie ujrzały jeszcze światła dziennego. Z tego samego powodu podjąłem próbę zmierzenia się z tematem „polskie prawosławie”. Było to możliwe dzięki Tadeuszowi Żaczkowi z Białej Podlaskiej, który ten temat fotografuje do lat. Jest to spojrzenie na człowieka w innych realiach niż nasze, ale też dotknięcie innej mistyki, choć przecież siostrzanej w stosunku do katolicyzmu. Przy okazji warto wspomnieć, że wróciłem jakiś czas temu, do fotografowania osób niepełnosprawnych. Konkretnie zająłem się dziećmi autystycznymi. Fotografuję dzieci podczas zabiegów rehabilitacyjnych i usprawniających w „sali



z cyklu *Kameduli*



doświadczania świata". Zdjęcia te nie ujrzały światła dziennego, gdyż projektu tego jeszcze nie dokończyłem. Jest to dla mnie kolejne wyzwanie, które wymaga zaangażowania czasowego, logistycznego i emocjonalnego.

**– Znowu więc zapytam, jak to cię rozwija od strony warsztatu i wrażliwości fotograficznej?**

– Wchodząc w świat dzieci niepełnosprawnych, chciałem pokazać nie tylko rodzicom dzieci zdrowych, ale w ogóle osobom dorosłym, że można – mając takie dziecko – nie załamywać się, a także coś sensownego z nim i przy nim robić. Zauważyłem, fotografując te dzieci, że podczas ich rehabilitacji nawiązują się niezwykle pozytywne, zupełnie niepowtarzalne relacje między dziećmi a rodzicami. Są to relacje, których nie można doświadczyć w żadnej innej sytuacji, bo one zawierają prawdę o człowieku i jego cierpieniu, o człowieczeństwie w jakże krucho i bezradnym ciele. Moje zdjęcia są rodzajem ukłonu w stronę tych rodziców, którzy wykazują się niezwykle wyjątkowym charakterem ducha podczas długich lat rehabilitacji dziecka niepełnosprawnego. Ale ten ukłon składam także tym rodzicom, którzy wiedzą, że w łonie matki rozwija się dziecko niepełnosprawne, a mimo wszystko decydują się na doniesienie ciąży i jego urodzenie. Moje fotografie są zatem formą otwarcia się na to, co w człowieku ludzkie. Najwyższym stopniem sztuki życiowej jest – moim zdaniem – wychowywanie człowieka, a wychowanie niepełnosprawnego człowieka tym bardziej. Warto więc o tym opowiadać i to pokazywać. Stąd moja obecność w tym świecie.

**– Ale wymiar fotograficzny tych obrazów nie jest, jak sam mówiłeś, jednoznacznie pozytywnie odbierany.**

– Faktem jest, że nie u wszystkich moje zdjęcia wywołują pozytywne reakcje i przyjemne uczucia. To, jak sądzę, ma związek z tym, że nie wszyscy, którzy te zdjęcia oglądają, są gotowi psychicznie na przyjęcie takiej wersji prawdy o człowieku i człowieczeństwie. I nie chodzi tu o wersję „sensacyjną”, ale właśnie o wersję głęboko hu-

manistyczną, łamiącą wszelkie bariery, opory i negatywne stereotypy.

**– Można powiedzieć, że fotograf Kupczyk nie szuka w tym temacie sensacji, on szuka w tym temacie prawdy o skrywanej często i niezbyt radosnej stronie ludzkiej egzystencji. Ci ludzie żyją wśród nas i są częścią społeczeństwa, które wspólnie tworzymy. A skoro tak myślisz, to pewnie zamierzasz te zdjęcia pokazać?**

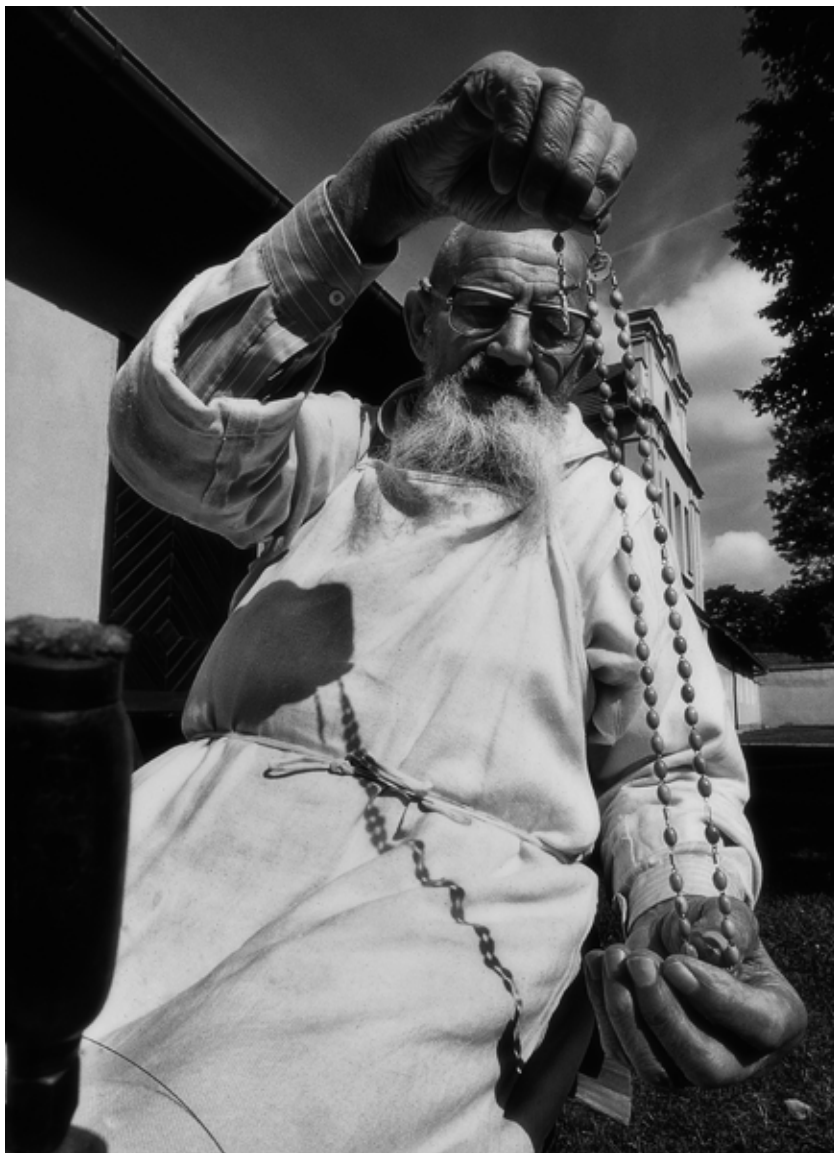
– Kiedy uporam się już z tym tematem, na pewno spróbuję zrobić z tego jakąś większą, szerszą prezentację w postaci wystawy, a może i albumu.

**– Widziałem na twojej stronie jeszcze dwa działy – fotografia ślubna i fotografia reklamowa. Szczególnie chciałem podkreślić fakt, że niemal każdy fotograf zawodowy uprawia fotografię ślubną, ale zazwyczaj się nią nie chwali. U ciebie nie tylko można te zdjęcia obejrzeć, ale można także mieć z tego przyjemność. To jest bardzo dobry przykład wysmakowanego podejścia do fotografii użytkowej. Te zdjęcia emanują ciepłem, urodą, a nawet małżeńską miłością.**

– Taki właśnie cel mi przyświeca, aby pokazać emocje, to, co łączy młodych ludzi, którzy darzą się miłością.

**– Co jeszcze można – twoim zdaniem – zrobić w fotografii ślubnej, żeby to było interesujące, miłe dla oka i fotograficznie wartościowe? Czy może tego typu fotografia powoli zbliża się do ściany.**

– Sądzę, że im częściej i bardziej świadomie będziemy wykorzystywać te wszystkie środki wyrazu, jakie przypisujemy fotografii (światło, kompozycja, estetyka, narracja), to o przyszłość kadrów ślubnych możemy być spokojni. Reszta jest tylko sprawą wyobraźni, pomysłowości nowożeńców i sprawności warsztatowej fotografa. Nie na wszystko jednak fotograf ma wpływ. Pozostaje mu świadomość, że działa na zamówienie, a efekty jego pracy są



z cyklu *Kameduli*

albo zwykłym tradycyjnym dokumentem ślubno-weselnym, albo wysokiej klasy estetycznym fotoreportażem opowiadającym historię, zawierającą prawdziwe emocje i ukazującą atmosferę uroczystości. Pozostaje mu prawo do własnej kreatywności. Nie ma bowiem sensu podążać bezkrytycznie za nie zawsze udanymi i rozsądnymi pomysłami strony zamawiającej. Tak czy inaczej, wynik końcowy zależy od warsztatowej świadomości fotografa, który osiąga niekiedy na tym polu wysoki stopień artystyzmu.

**– Równie trudna, jak dobra fotografia ślubna, jeżeli nie trudniejsza, jest fotografia reklamowa. Na tym polu także osiągnąłeś wysoki stopień wtajemniczenia.**

– Nie jest to łatwy kawałek chleba. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że istnieje wiele odmian fotografii reklamowej. Trudno nawet tutaj wymieniać obszary, gdzie dzisiaj profesjonalna fotografia tego typu jest nieodłączną częścią promocji i marketingu, produkcji, handlu i wielkiego biznesu. To jest cały fotograficzny kosmos, w którym poruszają się wąsko wyspecjalizowani zawodowcy. U nas, na terenie ziemi konińskiej, żeby się utrzymać z tego typu fotografii użytkowej (bo nawet nie reklamowej), nie ma szansy na specjalizację. Tutaj trzeba robić wszystko i z każdym tematem trzeba sobie umieć poradzić.

**– Oglądając twój dorobek, także ten z obszaru fotografii użytkowej, odnosi się wrażenie, że osiągnąłeś wysoki poziom zawodowstwa, rozumianego jako rzemiosło, wiedza i samoświadomość.**

– Dziękuję ci za takie spostrzeżenia, ale sprawa jest w sumie prosta – jeżeli chcę żyć z uprawiania fotografii, to muszę być profesjonalistą. Tu nie ma innej opcji. Precyzja i drobiazgowość są nieodłączną częścią warsztatu fotografa zawodowego. Na tak zwane artystyczne konceptualizmy mogę sobie pozwolić, jeżeli już mam takie ciążoty, wyłącznie w obszarach pozazawodowych. W mojej branży o moim losie decyduje klient, a konkurencja jest spora, więc nie mogę sobie pozwolić na jakiegokolwiek obniżanie

jakości swoich usług. Zupełnie inną sprawą jest kwestia stawek za zdjęcia w Polsce. Sytuacja przedstawia się w tej materii dosyć dramatycznie. Za naszą zachodnią granicą najniższa stawka za zdjęcie zamówione u profesjonalisty wynosi 300 euro. U nas za takie samo zdjęcie dostajesz dziesięć razy mniej, czyli 120 złotych, a jeszcze klientowi wydaje się drogo.

**– Skoro oddzieliłoby fotografię użytkową od całej reszty, to spróbujmy teraz ustalić, gdzie, w jakich kadrach z twojego bogatego archiwum ukrywa się twój prywatna wrażliwość, nazywana niekiedy duszą artysty?**

– Temat jest bardzo dyskusyjny. Jedni twierdzą, że fotografia to jest zapis rzeczywistości, a inni twierdzą, że to jest wpływ fotografa na rzeczywistość i zapis tego, co on widzi. Przełożenie rzeczywistości na obraz fotograficzny jeden do jednego nie jest chyba możliwe. Każde zdjęcie jest efektem subiektywnego spojrzenia na wybrany motyw. Kilku fotografów obserwuje tę samą scenę i każdy będzie widział ją inaczej. Wiele zapewne zależy od wrażliwości każdego z nich. Każdy z nas żyjąc w określonej kulturze, tradycji i rodzinie, pokazuje to na swoich zdjęciach.

**– Anna Dragan, znana dziennikarka „Przeglądu Konińskiego”, powiedziała o tobie coś takiego: *Franciszek Kupczyk uprawianą przez siebie dziedzinę traktuje jak czuły instrument. Często szuka niespodziewanych ujęć. A jeśli już typowo komponuje obraz – to ucieka od stereotypu, wprowadzając ekspresyjny kolor. Od lat inspiruje go pejzaż. Potrafi wstać przed świtem i czekać na takie barwy, jakie zazwyczaj przesypiamy. Dzięki bogatym zbiorom związanym z tematyką krajobrazu, publikuje swoje zdjęcia w albumach, folderach turystycznych, na pocztówkach. Z tą samą wrażliwością i dążeniem do maestrii traktuje inne tematy. Fotografując ludzi staje się niezwykle czujnym obserwatorem. „Łowi” psychikę modela, chciałby swoimi zdjęciami powiedzieć coś istotnego o człowieku. Jego gest, spojrzenie pełne***



z cyklu *Kameduli*

**ekspresji, niesie z sobą dodatkowy ładunek emocjonalny. Powtarzam więc pytanie: w którym momencie, w jakich okolicznościach na twoich fotografiach zaczyna się arcyzm? Bo on niewątpliwie u ciebie występuje.**

– Idea i celem sztuki w pojęciu klasycznym jest rejestracja i pokazywanie piękna, a piękne jest to, co sprawia radość i przyjemność. Sztuka ma temu służyć. Wiemy z doświadczenia, z filozofii i z historii sztuki, że niestety wiele osób to spojrzenie na sztukę starało się w przeszłości i nadal stara się wypaczyć. Jestem zwolennikiem klasycznego pojmowania sztuki. Moim celem jest podejmować, pokazywać i dotykać piękno. Piękno czai się wszędzie, a zarejestrowane, nastraja odbiorcę do pozytywnego działania, wyzwala uczucia przyjemne. A jeśli epatujemy widza złem i mroczną stroną duszy człowieka, to uzyskujemy też odwrotny skutek – depresję i negację. Jeżeli na obrazie malarskim lub fotograficznym widzimy niepokój, demony i zadawanie śmierci, to taki obraz wyzwala we mnie przygnębienie. Te stany są dzisiaj powszechnie obserwowane, chociażby na poziomie gier komputerowych, gier w zabijanie czy niezwykle agresywnych kreskówek dla dzieci. Spójrz na moje kadry, a zobaczysz moją wrażliwość. Czy jest w nich arcyzm? To już niech ocenią inni. Ja czuję się dokumentalistą.

**– Jeżeli pokazywanie zła jest łatwe, a pokazywanie piękna jest trudne, to dzisiejszy fotograf stale niemal jest wystawiany na pokuszenie łatwego zarobku, brutalności i wulgarności, które dobrze się sprzedają.**

– Niestety, niektórzy z nas, żeby zaistnieć, idą na wszystko, na każdą formę ekspresji fotograficznej. Sukces za wszelką cenę jest sukcesem wątpliwym. Opowiem ci o pewnym zdarzeniu artystycznym, które ściśle wiąże się z wystawą o kamedulach. Zostałem zaproszony do jednego z miast w Wielkopolsce. Ponieważ w owym domu kultury są dwie sale wystawowe, miałyby jednocześnie odbyć się dwie wystawy: moja o kamedulach i wystawa... aktu. Organizatorzy planowali szokujący w moim odczuciu hap-

pening. Otóż podczas wernisażu miałaby się pojawić naga modelka w zakonnym habicie, a potem ostentacyjnie go zrzucić. Podziękowałem za propozycję i zabrałem swoją wystawę.

**– Sprawa miała, jak się domyślam, ciąg dalszy.**

– Owszem. I to całkiem niespodziewany. Niedługo po tym wydarzeniu wystawa moja była eksponowana w Kaliszu. Otrzymałem telefon, że biskup ordynariusz ełcki Jerzy Mazur chce, żeby duch kamedułów na nowo zagościł na wzgórzu wigierskim, gdzie kameduli mieli w przeszłości swoją siedzibę. W wyniku tej rozmowy wystawa „Ora et Labora” trafiła na wzgórze wigierskie. Wernisaż odbył się z wielką pompą i z udziałem miejscowych VIP-ów, bo przy okazji otwierano Szlak imienia Jana Pawła II. Biskup nawiązał do przesłania *Ora et Labora*, podkreślając, co to przesłanie w sobie niesie, a poparł swoje w tej materii refleksje piękną przypowieścią o staruszku przewoźniku na łodzi, który na jednym wiosle miał wryte słowo *Ora*, a na drugim *Labora*. Przewożony tą łodzią mężczyzna twierdził, widząc te napisy i zachowanie się staruszka, że wierzy tylko w swój rozum oraz w to, co w życiu działał i w swoją pracę. Staruszek, w reakcji na buńczuczne zachowanie mężczyzny, pokazał mu co się dzieje, gdy dla człowieka liczy się tylko słowo *Labora*, a odrzucone jest słowo *Ora*. Wy płynął z przewożonym mężczyzną na rzekę i zaczął pracować tylko jednym wiosłem, tym z napisem *Labora*. W efekcie łódź kręciła się w koło własnej osi, nie posuwając się do przodu. Młody mężczyzna wysiadając z łodzi ze ściśniętym gardłem zdołał wyszeptać: dziękuję... Dodam tylko, że wystawa w tej chwili jest stałą ekspozycją na Wigierskim Wzgórzu. Duch kamedułów powrócił na Suwalszczyznę po ponad 200-stu latach nieobecności.

**– I to jest ten rodzaj sławy artystycznej, która nigdy nie przewróci człowiekowi w głowie. Lepiej chyba być sławnym z powodu takiego zdarzenia, jak to na Wigrach, niż z powodu skandalizującego happeningu.**



z cyklu *Kameduli*

– Ja to traktuję jako coś w rodzaju bonusu, który przypadł mi od losu w zamian za to, że nie poddałem się atrakcyjnej niewątpliwie wizji niedosłego happeningu fotograficznego z udziałem nagiej modelki. Ten happening, za sprawą owej modelki rozszławiłby mnie zapewne na całą Polskę. Tyle tylko, że byłaby to sława skandalisty. A co potem?

**– No tak, życie dla sztuki, jest właściwie dokonywaniem ciągłych wyborów. Wszystko, co zrobisz, co firmujesz swoim nazwiskiem, zostaje na długo w pamięci krytyków, badaczy i tych, którzy padli ofiarą manipulacji artystycznej. Na swoje nazwisko pracujesz całe życie, a sprzedać je możesz za pięć minut sławy tylko raz. I co gorsza, nigdy już potem nie wymażesz ze swojego CV takiego zdarzenia, jak to, w którym na szczęście nie uczestniczyłeś. Na szczęście dla wartości, których jesteś wyrazicielem. A skoro napomknąłem o życiu i sztuce, to zastanawiam się, czy po tylu latach wielu doświadczeń jesteś już podatny na jakieś eksperymenty formalne i fotograficzne konceptualizmy?**

– Do tej pory nie miałem takich ciągłot. Ja staram się rejestrować rzeczywistość tak, jak ją widzę. Staram się pokazywać prawdę, która podobno jest względna, ale z drugiej strony mówienie, że każdy ma swoją prawdę, pachnie relatywizmem. Moim zdaniem prawda jest zawsze jedna, wszystko zależy tylko od kontekstu i od tego, kto i czego szuka.

**– Rozumiem więc, że nie ingerujesz w kadry, bo interesuje cię prawda świata, w którym żyjesz.**

– Ta moja prawda fotograficzna, to także moje archiwum sprzed lat. Jeden segregator zawiera trzysta, czterysta negatywów bądź diapozytywów z jednego roku. Jest to moja własność. Dochodzą jeszcze filmy z kolejnych redakcji, w których pracowałem. Dzisiaj, mając nowe narzędzia obróbki obrazu, mogę z tych negatywów odzyskać ładny kawał historii miasta i regionu. Jeżeli mi czasu i życia starczy, spróbuję wrócić do tej materii, aby wykreować z tego jakąś

opowieść o minionych czasach. A będzie to reporterska i po części dokumentalna prawda o czasach, które minęły, i świecie, którego wielu już nie chce pamiętać. A przecież to wszystko działo się tak bardzo niedawno, niemal chwilę temu...

**– A z innych projektów fotograficznych? Coś ci po głowie chodzi?**

– Muszę zakończyć to, co czeka na zamknięcie i podsumowanie, czyli wspomniany już reportaż o dzieciach autystycznych. Być może wydam uaktualniony album o kamedułach. Ciągle zastanawiam się nad cyklem poświęconym ludziom i miejscom, w których są zakorzenieni. Poza tym nie wchodzę w jakieś wymyślone tematy, raczej skupiam się na tym, co przynosi życie, tym bardziej, że sam żyję chwilą obecną, tu i teraz. Nie planuję wypraw fotograficznych na drugi koniec świata. Poza tym właśnie kończę studia na wydziale dziennikarstwa w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, o specjalności kultura medialna, które również absorbują mnie czasowo. Właśnie jestem na etapie pisania pracy dyplomowej i mam nadzieję wkrótce się obronić.

**– Spójrzmy zatem za siebie, w niedawną przeszłość, skąd przyszedłeś do tego miejsca. Kiedyś twój świat fotograficzny składał się z jednego Zenita i ciemni w łazience czy kuchni. Dzisiaj jesteś profesjonalnym fotografem, który dysponuje własną pracownią i sporą ilością wysokiej klasy sprzętu. Czujesz zadowolenie, że pokonałeś tę drogę?**

– Odczuwam radość z tego, że pokonałem drogę, która nie była usłana różami. Wszystko to nie było ani łatwe, ani proste. Dzisiaj czuję się spełniony, ale nie wiem, co jeszcze dane będzie mi sfotografować. Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Poza tym noszę w sobie takie uczucie spokoju, a to znaczy, że prawdopodobnie nikogo nie skrzywdziłem swoimi zdjęciami, nie naruszyłem nimi niczyjej wolności. Z drugiej zaś strony nie żałuję żadnego



*W akcji z cyklu Ratownicy*



tematu, w który się fotograficznie zaangażowałem, nie żałuję chwil, kiedy dane mi było naciskać spust migawki. Żałuję tylko tych momentów, które miałem przed oczami, których nie sfotografowałem, bo nie miałem przy sobie aparatu. Z perspektywy minionych lat mogę więc powiedzieć, że życie zawodowe mi się udało. Po dziesięciu latach pracy w fabryce odnalazłem swoją pasję, dzięki

której stałem się wolnym człowiekiem. Tak, to fotografia otworzyła mi świat...

© K. Sz.

© F. K.



*Strajk głodowy pielęgniarek w konińskim szpitalu*

**FRANCISZEK KUPCZYK** – wielkopolski fotograf o bogatym doświadczeniu i znaczących osiągnięciach w świecie fotografii. Mieszka i pracuje w miejscowości Posada nieopodal Konina. Zawodowo fotografią zajmuje się od ponad 20 lat. Był członkiem Foto-Klubu Konińskiego, fotoreporterem „Wielkopolskiego Zagłębia”, „Gazety Konińskiej”, „Gazety Kolskiej” i „Przeglądu Konińskiego”. Obecnie jest fotografem niezależnym, zrzeszonym w Kolskim Klubie Fotograficznym „FAKT” im. prof. Tadeusza Cypriana.

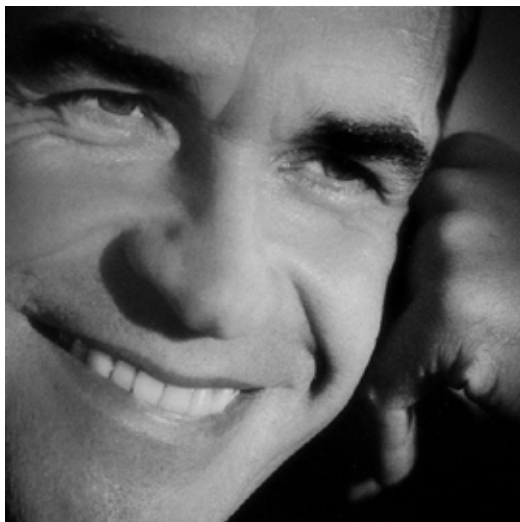
Zajmuje się głównie fotografią dokumentalną i reportażową. Zainspirowany człowiekiem, jego miejscem w przestrzeni kultury, twórczo penetruje motywy społeczne i sakralne, utrwalając przejawy życia w wielu jego aspektach. Posiada również bogate archiwum zdjęć związanych z tematyką krajobrazu i natury. Publikuje swoje zdjęcia w albumach, kalendarzach, folderach turystycznych itp. Aktywnie uczestniczy w ogólnopolskich plenerach i warsztatach fotograficznych.

Jest autorem wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych, wśród których jego epicka i wzruszająca opowieść o życiu mnichów kamedulskich zatytułowana „ORA ET LABORA” zyskała sobie popularność w świecie fotografii oraz uznanie krytyków.

Obecnie kończy studia w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu na wydziale dziennikarstwa o specjalności kultura medialna.

#### **Wystawy indywidualne:**

1997 – „MOJE SPOTKANIA Z MODĄ” – Konin  
 1997 – „TARGOWE FOTO-EXPO” – Konin  
 1997 – „ALTERNACJE PRZESTRZENI” – Konin  
 1999 – „BITWA O ZBARAŻ” – z planu „Ogniem i Mieczem” – Konin  
 1999 – „DOTYK ŚWIATŁA” – Konin  
 1999 – „INNY ŚWIAT” – Konin  
 2000 – „KONCERT Z PIOTREM” – Konin  
 2000 – „MIĘDZY ŚWIATŁEM, a WĘGLEM” – Konin  
 2002–2004 – „PEŚNI PÓL” – Konin, Poznań, Miłostaw, Środa Wilkp., Gniezno, Piła  
 2003 – „KAMEDULI W SŁUŻBIE BOGU I LUDZIOM” – Konin  
 2005 – „Jan Paweł II – papieskie zaduszki” – Konin  
 2007 – Fotografia Franciszek Kupczyk – Muzeum Okręgowe Konin



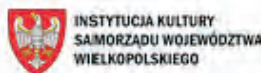
2007-2009 – „ORA ET LABORA” – Konin, Kalisz, Łąd nad Wartą, Wigry, Koło; od 2009 stała ekspozycja w Klasztornej Zespole Pokamedulskim w Wigrach

#### **Wystawy zbiorowe:**

1999 – „BYŁEM W LICHENIU” – wystawa zbiorowa poświęcona wizycie Jana Pawła II w Licheniu – Sanktuarium Licheń  
 2001 – „NATURA I KRAJOBRAZ 2000” – wystawa poplenerowa – Radomsko  
 2001 – „NATURA I KRAJOBRAZ 2000” – poplenerowa wystawa – Galeria ZPAF – Kielce  
 2004 – RADOMSKO – Wystawa poplenerowa z cyklu „NATURA I KRAJOBRAZ” – Uniejów  
 2005 – „Portret przy pracy” – Koło – wystawa powarsztatowa (Koło; WBPIKAK Poznań)  
 2005 – „Podlaski przełom Bugu” – wystawa poplenerowa w MOK Siedlcach i Białej Podlaskiej  
 2006 – Koło – „SÓL 2006” – wystawa powarsztatowa  
 2007 – Licheń – „Portet Polskiej Pobożności” – wystawa poplenerowa  
 2007 – „Podlaski przełom Bugu” – wystawa poplenerowa w MOK Siedlcach i Białej Podlaskiej  
 2008 – Koło – „Portret kopalni” – wystawa powarsztatowa  
 2009 – „Podlaski przełom Bugu” – wystawa poplenerowa w MOK Siedlcach i Białej Podlaskiej  
 2009 – „Portret Koła” – wystawa powarsztatowa  
 2011 – „Duchowość pogranicza” – Biała Podlaska – wystawa poplenerowa

#### **Nagrody i wyróżnienia:**

1985 – II Nagroda w Międzynarodowym Biennale Fotografii „Żyj wśród nas” – Konin  
 1996 – Nagroda Komendanta Głównego P.S.P. w Warszawie – II Edycja Ogólnopolskiego Konkursu Fotograficznego  
 1997 – Brązowy Medal w IV Fotograficznych Mistrzostwach Polski w kat. fotografii prasowej – Warszawa  
 1998 – I Nagroda w Konkursie Fotograficznym – „Byłem w Licheniu” – Licheń  
 1999 – Złoty medal w VI Edycji Fotograficznych Mistrzostwach Polski – Warszawa  
 1999 – Nagroda Prezydenta Miasta Konina za osiągnięcia w dziedzinie fotografii  
 2001 – Główna Nagroda Marszałka Wielkopolski w Ogólnopolskim Konkursie Fotograficznym „Wielkopolska 2000” w kat „LUDZIE” – Poznań  
 Prace w zbiorach MUZEUM LUDOWEGO w Przedborzu  
 Prace w Centrum Edukacji Ekologicznej, Kultury i Ochrony Środowiska w Piotrkowie Trybunalskim



## Seria wydawnicza Fotografowie Wielkopolski

Są to rozmowy Krzysztofa Szymoniaka z działającymi w naszym województwie fotografami. Publikacje mają w przystępnej formie udostępnić szerszej publiczności ich dorobek, stanowią także ważny przyczynek do badań nad rozwojem ruchu fotograficznego w Wielkopolsce.

Krzysztof Szymoniak to związany z Kępem, Gnieznem i Poznaniem fotografujący dziennikarz, nauczyciel akademicki i poeta.

Dotychczas ukazały się:

- Waldemar Sliwczyński: **Obrazy z przypomnienia**
- Paweł Kosicki: **Jestem z miasta**
- Maciej Frankowski: **Nie sprzedaje się duszy**
- Piotr Chojnacki: **Aura i sacrum**
- Bogusław Biegowski: **Moje nie-miejsca**
- Robert Andre: **Ubiertanie w światło**
- Stefan Wojnecki: **Zmienia się oblicze światła**
- Jerzy Mianowski: **Spełniam się każdego dnia**
- Wojciech Beszterda: **Wyprawa za horyzont**
- Monika Pogorzelec i Bartłomiej Król: **Na rozdrożu**
- Mariusz Forecki: **Mówię językiem obrazu**
- Lech Szymanowski: **Odkryć czas prowincji**
- Maciej Mańkowski: **Marzenia – moja energia**
- Paweł Szott: **Być niewidzialnym**
- Henryk Król: **Oaza wolności**
- Sławomir Skrobala: **Tęsknota za wielkim formatem**
- Mariusz Hertmann: **Sceptyk pełen wiatry**

Koordynator projektu: Władysław Nielipiński  
Redaktor techniczny: Ewa Oleszek

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury  
60-819 Poznań, ul. Prusa 3  
tel. 61 6640867  
foto@wbp.poznan.pl  
www.wbp.poznan.pl

ISBN: 978-83-62717-56-9